
Tekst przemówienia dra Janusza Detki
(Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach)

Sytuacja, w jakiej spotykamy się dzisiaj, samemu Witoldowi Gombrowiczowi sprawiłaby – jak wolno przypuszczać – niejaką uciechę. Jest jego mosiężne imię umieszczone na budynku biblioteki i rzeźbiarska podobizna na cokole, a powietrze wokół wyraźnie zgęstniało od oficjalności, która udziela się każdemu z nas i wzajemnie podsycza w gestach i spojrzeniach. Dla twórcy wyczulonego na presję Formy byłoby to zapewne ciekawe widowisko z nim jako duchowym bohaterem w roli głównej, ale można też sądzić, że w kpiarskim uśmiechu pisarza byłaby szczypta autentycznej radości. Uporczywie walczył o wybitność i owa wybitność zyskuje dzisiaj potwierdzenie w regionie dla niego macierzystym. Znajdujemy się przecież – patrząc z szerszej perspektywy – w polu trójkąta, którego wierzchołkami są: Sandomierz, Kielce i Radom. W tym polu są m.in. opatowskie Małoszyce – miejsce narodzin autora *Ferdydurke*, jest ziemia ostrowiecka z Dołami Biskupimi i Bodzechowem przodków po kądzieli Kotkowskich, a nieco dalej Przybysławice z grobami Gombrowiczów. Można zawęzić perspektywę – zaledwie kilkaset metrów stąd, na Cmentarzu Starym, jest grób matki pisarza, całkiem niewielka odległość dzieli nas również od miejsc zamieszkania i pracy matki oraz siostry Ireny. Popiersie Witolda Gombrowicza sytuuje się zatem w przestrzeni jak najbardziej swojej. Ale nie względy genealogiczno-topograficzne przesądziły o nadaniu Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Kielcach imienia pisarza – sprawiła to przede wszystkim wartość i ważność jego dzieła. Biblioteka – zwłaszcza dzisiaj – nie może być martwym muzeum, gromadzącym „dziesięć tysięcy starych rzeczy”, jak pisała w znanym wierszu Wisława Szymborska. Ta biblioteka – o czym mogliśmy się niejednokrotnie przekonać – jest miejscem żywym, wybór patrona należy przeto uznać za niezwykle celny, albowiem dzieło Gombrowicza, mimo upływu lat, jest takie właśnie, czyli nieustająco żywe. Nadal przyciąga, budzi spory, zachęca do nowych odczytań, słowem – nie pozostawia nas obojętnymi. Gombrowicz był pisarzem, który myślał o swoich czytelnikach, ponieważ literaturę rozumiał nowocześnie – jako przestrzeń dialogu. W *Dzienniku* z 1966 roku napisał, że czytelnicy to współtwórcy literatury: „bo czytać to nie mniej twórcze, niż pisać”. Na jakiego czytelnika stawiał? Raczej nie na takiego, który jedynie bezrefleksyjnie pochłania fabułę, lecz na czytelnika poszukującego w książce podniety dla własnych przemyśleń. Ów czytelnik niekoniecznie musi się z pisarzem zgadzać, chodzi natomiast o to, aby książka

poruszyła myśl, skłoniła do zastanowienia, może nieco przeformowała świadomość. Gombrowicz od początku swej twórczości, czyli od *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, proponował literaturę opartą na artystycznej i intelektualnej prowokacji – taką, która – jeśli się w nią wejdzie – niepokoi i nie pozwala o sobie zapomnieć. Tak było z kolejnymi powieściami – przedwojenną *Ferdydurke* i powojennymi: *Trans-Atlantykiem*, *Pornografią* i *Kosmosem*, tak z dramatami: *Iwoną księżniczką Burgunda*, *Ślubem* i *Operetką* oraz z pisanym przez ostatnie kilkanaście lat życia *Dziennikiem*. Pisarz lubił przy tym przywdziewać kostium błazna i kostium ten sprawiać może wrażenie, że była to tylko dobra zabawa. Parodie literackich schematów i demaskowanie myślowych stereotypów, owszem, i nas bawią po dziś, dodać wszakże należy, iż strojący miny Gombrowicz traktował literaturę bardzo serio. Jaka powinna być prawdziwa twórczość, pisał w *Dzienniku* z 1953 roku: „Literatura jest damą surowych obyczajów i nie należy podszczypywać jej po kątach. Cechą literatury jest ostrość. Nawet ta literatura, która dobrodusznie uśmiecha się do czytelnika, jest wynikiem ostrego, twardego rozwoju jej twórcy. I literatura dążyć musi do zaostrenia życia duchowego, nie zaś do [...] pokątnej tolerancji. [...] Literaturze, zmiękczonej nieustannie przez rozmaite pocziwe ciotki, fabrykujące powieści lub felietony, przez dostarczycieli pośledniej prozy i poezji, przez mięczaków obdarzonych łatwością słowa, literaturze grozi to niebezpieczeństwo, iż stanie się jajkiem na miękko, zamiast być – co jest jej powołaniem – jajkiem na twardo”. Gombrowicz „zaostrza życie duchowe” swych czytelników od kilkudziesięciu lat. Kiedy w latach 30. wydał *Pamiętnik*, a następnie *Ferdydurke*, publiczność była na takie książki zupełnie nieprzygotowana – owszem, sięgnęli po nie koledzy po piórze, krytycy oraz chłonni nowości studenci, ale dla przeciętnego odbiorcy pozostawał twórcą nieznanym, a jeśli cokolwiek poznanym, to „dziwnym” i „trudnym”. Pisarz w chwili debiutu zdawał sobie sprawę, że wokół niego są czytelnicy wychowani na Mickiewiczu, Sienkiewiczu i Żeromskim, a nierzadko po prostu na Rodziewiczównie, nieskłonni brać się za coś, co wywracało do góry nogami ich literackie i myślowe przyzwyczajenia. I jeżeli nawet Gombrowicz, zwłaszcza w *Ferdydurke*, mówił o zniewoleniu przez Formę, o gębach, które ludzie sobie wzajem przyprawiają, i o upupianiu, czyli wpychaniu w niedojrzałość jako sposobie dominowania jednych nad drugimi – niewielu wysłuchało tej lekcji, podanej w dodatku językiem z pozoru niepoważnym. Gombrowicz jednak rzucał pierwsze ziarenko, które – jak czas pokazał – nie obumarło. *Ferdydurke* ukazała się pod koniec 1937 roku. Co było dalej – wiadomo: wybuch wojny, który zastał Gombrowicza w Argentynie i wpłynął na decyzję o pozostaniu tam. Pisarz

zaczął wieść życie emigranta i na kilka lat zarzucił pisanie. Do literatury wrócił w roku 1946 – napisał *Ślub* i przetłumaczył z argentyńskimi przyjaciółmi *Ferdydurke* na hiszpański, a więc zaczął mówić poprzez swoje utwory nie tylko do Polaków. Poszerzając grono odbiorców, pamiętał jednak o rodakach, do nich bowiem kierował *Trans-Atlantyk*, mocując się w nim z mitami narodowymi i powierzchownym kultywowaniem patriotyzmu. Wiedział, że kontynuując opowieść o Formie zniekształcającej człowieka, uderzał tym razem w tony bluźniercze i narażał się na infamię, a jednak za cenę osamotnienia i gromów krytycznych odważnie głosił swoją rację. I tak już będzie do końca życia pisarza: prowokowanie odbiorcy, manifestowanie własnej niezależności, przekonanie o tym, że mówi się o rzeczach doniosłych. To mogło drażnić i drażniło – szczerze go nie znosiła emigracja londyńska, bo niby szargał polskie świętości, nie kochali go komuniści, bo prowadził w *Dzienniku* ostrą polemikę z marksizmem, a przeciwników różnej maści – odzywających się za życia pisarza i później – dałoby się wyliczyć więcej. To jedna strona odbioru, ale jest i strona druga – rosnące grono czytelników, dla których Gombrowicz okazywał się ważnym intelektualnym odkryciem. Dodajmy, że w kraju była to lektura najpierw prawie całkowicie niedostępna, po 1956 roku obostrzenia nieco zelżały, lecz jej rozpowszechnianie było wybiórcze i ograniczone, a jeszcze w latach 80., kiedy Jan Błoński przygotował edycję dzieł pisarza, znać na niej ingerencje cenzora. Mimo to, a może tym bardziej, chciano Gombrowicza czytać, był bowiem odtrutką na napuszony język polityki i propagandy, na puste i sztuczne ceremonie. Nie będąc nigdy pisarzem politycznym, autor *Ferdydurke* uczył dystansu wobec wszelkiej sztuczności, a jego czytelnicy stopniowo uświadamiali sobie, kiedy przyprawia im się gębę i kiedy się ich upupia. Z czasem jednak, zwłaszcza w *Dzienniku* oraz w powieści *Kosmos*, poszerzał się zakres problemowy tego pisarstwa, zmierzającego od kwestii Formy do ogólnej koncepcji człowieka i świata. Nigdy nie przyjęła ona postaci systemowej, bo też Gombrowicz, choć wielu tak chce uważać, nie był filozofem. Określmy rzecz inaczej – był konsekwentnym antropocentrykiem, nastawionym na prezentowanie własnych prawd: o tym, jak człowiek uwikłany jest w międzyludzkie relacje, w historię pojmowaną jako balet form, wreszcie w chaos pozaludzkiego świata, w ów czarny kosmos, któremu rozpaczliwie próbuje nadawać sens. Dzieła pisarza w niepodrabialny sposób mówią o sytuacji człowieka XX wieku, któremu przyszło żyć – jak głosił Nietzsche – po śmierci Boga. W stanie kryzysu wszelkich autorytetów człowiek stwarzany przez drugiego człowieka, ale także skazany na drugiego, ratuje się formatwórczymi operacjami, tworzy fikcje, oszukuje się. Co w tej materii radził Gombrowicz? Otóż doradzał stałą czujność wobec wszelakich form, tych starych i tych

dopiero się rodzących, ale również powtarzał za wielkimi humanistami: „przede wszystkim być człowiekiem”, tzn. bronić swej podmiotowości. Dziennik pisarza – przypomnę – rozpoczyna się kilkakrotnym powtórzeniem słowa „Ja” i nie jest to jedynie przejaw egocentryzmu. To manifestacja niepodległej niczemu indywidualności. Przekonanie wyrażone w zapisie dziennikowym z 1962 roku, iż „Dziś [...] każdy z nas musi przemyśleć świat i życie na własny rachunek albowiem wykończyły się autorytety” – nic nie straciło na znaczeniu. Więcej nawet: w świecie gotowych opinii, podsuwanych nam z ręcznie w kuszącym opakowaniu, oraz pośród kreowanych sztucznie autorytetów przesłanie Gombrowicza dotyczące urzeczywistnienia się, czyli wyzwolenia z nierzeczywistości form, brzmi jak memento. Czytelnicy *Ferdydurke* doskonale pamiętają kończący powieść dwuwiersz: „Koniec i bomba / A kto czytał, ten trąba!” Jest to gest iście Gombrowiczowski – po odkrywczych spostrzeżeniach i po wszystkich perypetiach z Formą autor nagle robi minę i ucieka w śmiech, by niczemu nie poddawać się całkowicie, nawet temu, co sam stworzył. Przekornie więc, tak jak zalecał pisarz, podejźmy do tego wierszyka: kto czyta Gombrowicza, ten wcale trąbą nie jest, przeciwnie – lektura jego książek to emocjonująca intelektualna przygoda. Bo dzieło Witolda Gombrowicza działa jak drożdże: rośnie w nas, dojrzewa i – powtórzę słowa pisarza – zaostrza nas duchowo. Po Gombrowiczu patrzymy na siebie i świat wnikliwiej.
